



AVA REID

BAJKA
O KOŃCU
ŚWIATA



AVA REID

**BAJKA
O KOŃCU
ŚWIATA**

**Tłumaczenie
Zofia Słocińska**

Tytuł oryginału: *Fable for the End of the World*

Copyright © Ava Reid 2025

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Nowe Strony, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redaktorka prowadząca: Sandra Pętecka

Redakcja: Marta Grandke

Korekta: Anna Łakuta, Martyna Góralewska, Kamila Grotowska

Skład i łamanie: Michał Swędrowski

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Projekt okładki: Kimberly Myatt

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-954-4 · Wydawnictwo Nowe Strony · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo Nowe Strony
📷 [wydawnictwonowestrony](https://www.instagram.com/wydawnictwonowestrony)
🎵 [nowe_strony](https://www.tiktok.com/@nowe_strony)

Dla wszystkich młodych, queerowych
dziewczyn – Wasza miłość uratuje świat

W tej opowieści jest miłość, ale historia wciąż jest taka sama
YOU WANT IT DARKER, LEONARD COHEN

JEDEN

INESA

Floris Dekker kładzie ciało swojej córki na ladzie.

– Błagam.

Sanne nadal ma na sobie luźną, białą sukienkę, która jest zabrudzona czymś, co wygląda jak rdza. Wiem jednak lepiej. Bury, szarawy i zniszczony zbyt częstym praniem materiał podpowiada mi, że to zakup ze sklepu internetowego Caerusa. Szwy napiniają się wokół ramion i łokci Sanne. Domyślam się, że to sukienka z ostatnich stron katalogu, tania i produkowana na masową skalę.

– Nie – odpowiadam twardo. – Nie ma mowy.

– Proszę – naciska Floris. – To wszystko, co mi zostało.

Prawdę mówiąc, to kłamie. Jego żona, Norah, zmarła wiosną – odeszła, bo wypła zanieczyszczoną wodę. Gdyby żyła w Esopusie Niższym z wszystkimi, którzy nie mają kanalizacji, wiedziałyby, że musi najpierw ją zagotować, nim będzie zdatna do picia.

Florisowi jednak wiele po niej zostało – długi u Caerusa krążące po pustym domu jak duchy, zaciskające swoje lodowate dłonie wokół jego nadgarstków i kostek, jakby zakuwały go w makabryczne kajdanki.

A teraz, gdy umarła również Sanne, i tak nie straci towarzystwa. Dziewczyna miała dwanaście lat, wystarczająco dużo, by przyciągnąć swoje własne upiory.

– Przykro mi – mówię.

Włosy nastolatki są wilgotne i poplątane. Gdybym nie знаła prawdy, mogłabym powiedzieć, że utonęła. Ale tutaj nikt nie tonie, ponieważ gdy tylko nauczymy się mówić i chodzić, każdy z mieszkańców oddalonych Hrabstw wie, kiedy unosi się poziom wód gruntowych i że nie można wtedy ufać ziemi pod stopami. Nie widziałam, jak umiera, w odróżnieniu od innych mieszkańców Esopus Creek, którzy wpatrywali się w ekrany swoich tabletów tak długo, aż ich oczy stały się zaczerwienione, niemal krwawiły – bo jak można pozwolić sobie na sen i zaryzykować przegapienie momentu kulminacyjnego? Rzezi?

Mogę tylko wpatrywać się w jej mokre włosy. Jeśli spojrzę na twarz albo zeszytniałą klatkę piersiową, napierającą na za ciasny materiał sukienki – lub, co najgorsze, na siniaki zdobiące szyję – będę musiała schować się za ladą i zwymiotować.

Nikt by nie uwierzył, że mam tak słaby żołądek, skoro wykonuję taką pracę, a nie inną.

Floris zaciska szczęki.

– Jest tu twój brat?

W odpowiedzi mrużę oczy. Widocznie nie byłam dla niego zbyt twarda.

– Luka powie ci to samo. Żadnych ludzkich ciał.

Niemal dodają kolejne: „Przykro mi”, ale jeśli to zrobię, znów zapyta o Luke.

– Zapłacę więcej – oferuje Floris, a jego głos staje się coraz wyższy. – Sześćdziesiąt pięć kredytów.

Nasza cena za jelenia wirgińskiego to sześćdziesiąt, ale mając na względzie to, że niedługo wyginą, będziemy chyba mogli podnieść ją dwukrotnie. Nie zamierzam wypychać dwunastolatki za dwa dodatkowe opakowania tabletek do uzdatniania wody pitnej o smaku brzoskwińowym, nawet jeśli uszczęśliwiłoby to mamę.

Poza tym Floris kłamie. Nie może zapłacić więcej. Gdyby miał tyle kredytów, Sanne nie musiałaby umierać. To sprawia, że ciężko mu współczuć. Jeśli narobi sobie więcej długów, nie będzie w stanie ich spłacić inaczej niż swoim życiem. Dziewczyna była słabą tarczą, która chroniła go przed poborcami Caerusa i ich okrutną zemstą, ubraną w piękne słowa o sprawiedliwości.

Dolna warga Florisa drży, co sprawia, że reszta jego twarzy staje się wychudła i pusta. Jest z Esoposu Wyższego, co znaczy, że jada lepiej niż my, ale i tak tylko trochę. Chociaż wiem, że to nie wyżywienie tak go zadłużyło. To nigdy nie jest jedzenie.

Znów opuszczam wzrok na Sanne. Jej oczy są w połowie otwarte, a blade rzęsy wyglądają jak mniszek, którego nasiona wciąż można zdmuchnąć.

To jedna z rzeczy, których nauczyłam się w tej pracy: trudno sprawić, by oczy zmarłego się zamknęły. Każdy myśli, że po śmierci ciało staje się wiotkie i giętkie, podczas gdy w rzeczywistości jest zupełnie na odwrót. Po ustaniu funkcji życiowych ono się napina; to tak zwane zeszytywnienie pośmiertne. Później, oczywiście, rozkłada się tak, że nie pozostaje po nim nic, ale najpierw jest sztywne i nieruchome, jakby próbowało samo utrwalić się w tej ostatniej chwili, gdy było żywe. W pewien sposób ułatwia to moją pracę.

Zawsze myślę o tym w ten sposób: ciała pomagają mi tak, jak ja pomagam im. Wszyscy chcemy przeżyć lub chociaż jak najbardziej się do tego stanu przybliżyć.

Gdy to do mnie dociera, czuję gulę w gardle. Nie ze względu na Florisa, ale na Sanne. Bo może to jest lepsze, niż pochowanie

w jakimś nieoznaczonym grobie i skazanie na zapomnienie. Być może też dlatego, że Floris zasługuje, by stale przypominać sobie, co jej zrobił.

Z krótkim, ostrym wdechem sięgam pod ladę, by otworzyć jedną z szuflad, na co mężczyzna unosi brwi z nadzieją.

Wyciągam małą, szklaną buteleczkę i przytrzymuję przed nim.

– To mieszanka ałunu i tetraboranu sodu – tłumaczę, nie owijając w bawełnę. – Środki wysuszające. Wyciągają wodę z ciała, wydłużając tym samym proces rozkładu. Nie powiem ci dokładnie, jak...

Ale Floris już chwyta za moją dłoń i odgina palce, żeby ją otworzyć.

– Dziękuję, dziękuję.

– Czekaj! – krzyczę, ale on wsuwa buteleczkę do swojej kieszeni. – Musisz użyć tego pod skórą i...

Przerywam, bo i tak nie jestem w stanie dać mu całej instrukcji, jak wypchać swoją córkę.

Sięga znów po Sanne. Po skroni dziewczyny spływa kropla wody, a ja walczę z chęcią jej wytarcia.

– Inesa – odzywa się Floris – jesteś jedną z tych dobrych.

Nie wiem, czy ma na myśli dobrych mieszkańców Esoposu Niższego – tych nienarzekających, gdy ludzie z Esoposu Wyższego zalewają nasze domy sześć razy w roku, bo tamci utrzymują zbyt wysoki poziom wody w zbiorniku – czy może kogoś z porządnych wypychaczy zwierząt, unikających kasowania za każdą nić czy kroplę gliceryny, czy też jednego z dobrych Souliśów. Patrząc jednak na to, jak wszyscy w Esopus Creek nienawidzą mamy, nietrudno zdobyć taki tytuł.

Lub może ma na myśli to, że jestem jedną z tych osób, które nie oceniają tego, co zrobił. Że spłacił swoje długi życiem własnej córki. Co do tego jednak by się mylił. Może nienawidzę go za to mniej niż wszystkich innych w naszym mieście, ale nie jest to coś, co mogę wybaczyć. Lub zapomnieć.

Zaciskam szczęki i rzucam mu lodowate spojrzenie, udając, że jestem o dwadzieścia centymetrów wyższa, tak wysoka jak Luka.

– Chcę siedemdziesiąt pięć kredytów.

Floris nic nie mówi, gdy wyciąga swoją kartę Caerusa i przykłada ją do mojego popękanego tabletu. Nie odzywa się też, gdy ściąga ciało swojej córki z lady i zabiera zwłoki w stronę drzwi, które uchyla stopą. Pordzewiałe zawiasy skrzypią. Gdy zatrząskuje za sobą skrzydło, mały drewniany znak „SKLEP Z WYPCHANYMI ZWIERZĘTAMI SOULISÓW” uderza o ścianę, brzmiając jak tanie drewniane dzwonki.

Kładę na ladzie łokcie i opieram głowę na dłoniach. Muszę głęboko oddychać przez kilka minut w kompletnej ciszy i zaciśnąć mocno powieki, by usunąć widok Sanne sprzed moich oczu. Gdy bicie serca się uspokaja, opuszczam się powoli na podłogę za ladą.

Środek, który sprzedałam Florisowi, jest wart co najmniej dziewięćdziesiąt kredytów. Luka mnie zabije.

Szybko się dowiaduję, dlaczego Sanne była przemoczona – to przez deszcz. W ciągu kilku ostatnich dni nie padało – co dla Eso-pus Creek jest małym cudem – więc wśród rzeczy sklepowych za ladą muszę znaleźć moją tratwę. Niebo jest mglisto-fioletowe, przecięte pasmami różu od środków zanieczyszczających na tyle silnych, by przebiły się przez gęste chmury. Gdy kończę zamykać sklep, woda sięga mi już kolan, a kurtkę mam przemokniętą.

To jedna z tych ciężkich, dużych burz przychodzących bez żadnego ostrzeżenia i unoszących często poziom wody gruntowej tak wysoko, że zatapia nogi naszej kanapy. W domu Luka pewnie już rozkłada worki z piaskiem. Wchodzę na tratwę, sprawdzam głębokość wody swoją tyczką – zatrzymuje się nad znacznikiem na wysokości dwudziestu centymetrów – i odpycham się od dna, wypływając na deszcz.

Woda na Ulicy Głównej płynie brązowym, mętnym strumieniem, spływając z Esoposu Górnego do Niższego. Jest już po szóstej, więc na drogach zwiększa się ruch, właściciele sklepów wskakują na tratwy i odpychają się w stronę swoich domów na wyższych poziomach. Po drugiej stronie dostrzegam panią Prinslew, klęczącą na ziemi i opierającą się na dłoniach. Próbuje wcisnąć w szczelinę pod drzwiami swojego lokalu jakieś szmatki. Cała czwórka jej synów wyprowadziła się do Miasta, więc teraz sama prowadzi interes z towarami z czarnego rynku. Wycierając deszcz ze swojej pomarszczonej twarzy, siada na piętach i obraca głowę, spotykając mój wzrok.

W gardle rodzi mi się instynktownie pytanie: „Czy w czymś pani pomóc?”. Ale inny, silniejszy odruch je zdeptuje. Tutaj, w odległych Hrabstwach, zaferowanie swojej pomocy nie jest życzliwością, ponieważ coś takiego nie istnieje bez wdzięczności, a ona bez długu.

Tego właśnie uczył nas Caerus – powoli, a potem gwałtownie – gdy skończyły się kredyty, a oni przyszli je pobrać.

Mogę zaferować pani Prinslew jedynie kiwnięcie głowy oraz pomachanie ręką. Ona odpowiada tym samym, a ja odpycham się i płynę dalej.

W takim momencie w mieście pełno jest rybaków pobierających opłaty od tych, którzy sami nie mogą się tak przemieszczać. Mają prawdziwe szkuty, wąskie i wymuskane, z małą platformą, na której da się stanąć, a czasem nawet z niewielkim siedziskiem dla pasażera. Za przewiezienie do dzielnicy mieszkalnej biorą piętnaście kredytów; dziesięć, jeśli mieszkasz w Mieliznie. Podczas rzadkich okazji, gdy mama opuszcza dom, zawsze wynajmuje skutę. Mówi, że nie ufa mojemu ramieniu.

Ulice Esopus Creek biegną poziomo przez wzgórze niczym pręgi na zboczu klifu, a granica między Esopusem Wyższym i Niższym jest bardzo wyraźna. Domy Niższego mają płaskie, aluminiowe dachy i butwiejące, drewniane ściany, z których po

tak wielu burzach schodzi już farba. Zbudowane są w powietrzu nad wzgórzem w chudych kolumnach z pustaków, a ich ganki niebezpiecznie się zapadają.

Domy w Wyższym są okrągłe i białe jak owadzie jaja, zbudowane z opornego na deszcz plastiku, z którego szybko spływa jakakolwiek woda. Mają szklane okna oraz zakryte ganki, zdolne rozwinąć się i zwinąć w zależności od pogody. Są to kapsułowe domy Caerusa, przetransportowane drogą powietrzną z Miasta i postawione na zboczu wzgórza.

Mama mówi, że są sterylne i brzydkie. Luka uważa, że mama przesadza.

Nasz dom znajduje się na samym końcu Alei Małej Schoharie, najniższej ulicy Mielizny. Nasi sąsiedzi noszą w sobie trochę dumy, bo kiedyś były tu szkoły, lata temu, nim nauka przeniosła się do świata wirtualnego. Każdy twierdzi, że to *jego* budynek stoi na starym terenie placówki, ale Luka i ja nawet nie udajemy, że nasz ma w sobie jakąkolwiek namiastkę szlachetności. Odpycham się od ziemi i dopływam tratwą na szczyt schodów. Następnie wspinam się na nie, ślizgając się na mokrym betonie, z włosami kompletnie przemoczonymi nawet pod kapturem.

Na ziemi leżą już worki z piachem i czuję zapach krwi, gdy tylko wchodzę przez drzwi. Zrzucam z siebie mokrą kurtkę i wieszam ją na haczyku obok okrycia brata. Moje jest zielone, poczerniałe od deszczu, natomiast jego czarne, choć teraz kolor wydaje się jeszcze bardziej intensywny niż zazwyczaj. Dzisiejsze łowy musiały być bardzo krwawe.

Luka siedzi przy kuchennym stole, jego włosy schną ułożone w sztywne kolce. Gdy tylko mnie zauważa, pyta:

– Czy zabiłaś deskami okna w sklepie?

– Nie zdjęłam ich nawet po poprzedniej burzy – odpowiadam, i pozwalam sobie na krótki śmiech, licząc, że odpowie tym samym. – Bo po co.

Luka oferuje mi w odpowiedzi tylko ponury uśmiech. Grzebie w swoim tablecie, przeskakując pomiędzy apkami z grą i z najnowszymi informacjami. Oboje kręcimy się wokół bliźniaczo podobnych pytań.

Ile dziś zarobiłaś?

Ile dziś upolowałaś?

Pierwsza wyrzucam z siebie swoje pytanie.

– Ile?

– Dwa króliki i jeleni wirgiński. – Odpowiedź Luki jest natychmiastowa, bo wie, że to dobre łowy. Można było się tego spodziewać po stanie jego kurtki. – Chciałem zabrać je do sklepu, ale wtedy zaczęło padać.

– Wezmę je jutro. – Przełykam ślinę. – Powinniśmy więcej wołać za jelenie. Był dziś u mnie kupiec z Miasta, który chce cztery przygotowane głowy. CZTERY. Powiedziałam, że może to potrwać z miesiąc.

– Kozły z porożami?

Przytakuję.

– Kazałam mu wpłacić bezwrotną zaliczkę. Dwieście kredytów.

Byłam dumna ze swojej dzisiejszej pracy, aż nie przybył Floris Dekker. Nigdy nie czułam się źle z powodu bycia bezczelną względem kupców z Miasta. Przychodzą, nosząc świecące, czarne buty i nieprzemakalne płaszcze w kolorach tęczy, a kiedy zdejmują kaptury, twarze i włosy mają suche. Są zawsze weseli, wspominają osobliwość sklepu, uprzejmie ignorują przeciekający sufit czy wiadra wypełnione stęchlą wodą. Nie mrugają ani nie wykrzywiają się, gdy przedstawiam im nasze wygórowane ceny, a czasem nawet przepraszają, gdy przykładają swoją kartę Caerusa po raz trzeci czy czwarty do mojego popękanego tabletu, by transakcja została zaakceptowana.

Chcą łbów jeleni do swoich „jadalni” i „gabinetów”. Te miejsca widziałam tylko w telewizji. Wypchane króliki ozdabiają sypialnie ich dzieci. Ptaki, które układałam tak, by wyglądały,

jakby leciały z dumnie nastroszonymi piórkami, są prezentami dla ich żon.

Żal mi Odległych kupców przybywających z Hrabstwa Catskill czy nawet z tak dalekich miejsc, jak Hrabstwo Adirondack, tych, których stać tylko na najbardziej wychudłe, mizerne czy małe myszy polne, sprzedawane za dwadzieścia kredytów za sztukę. Wypchane zwierzęta są przywilejem, to jasne jak słońce. Nikt ich nie potrzebuje. Ale jest jakaś logika w ich kupowaniu, czego ludzie z Miasta nigdy nie rozumieją. Bo gdy podsumowujesz wartość swojego życia, radosna ozdoba czy drogie świecidełko jest bardziej cenne niż skrzynia na wpół zgniłych jabłek z czarnego rynku.

Cóż, jest to logika, która kieruje chociażby życiem mamy. Słyszę, jak kręci się w swoim pokoju, jak skrzypią sprężyny jej łóżka.

– Świetnie – mówi powoli Luka. – Więc... Ile ty zarobiłaś?

Wypowiada to pytanie ostrożnie, jak ktoś, kto zagląda przez szparę w drzwiach, by dowiedzieć się, czy u osoby po drugiej stronie wszystko w porządku. Biorę wddech. Przedpłata za jelenie była dobra, ale strata świetnej jakości środka wysuszającego kradnie niemal połowę tej kwoty, a poza tym cała ta sytuacja jest poniżająca.

Opowiadam Luce o Florisie z taką godnością, na jaką mnie stać, ale twarz mojego brata ciemnieje i ciemnieje. W momencie, w którym kończę swoją wypowiedź, on już stoi i zęby ma zaciśnięte tak mocno, że widzę, jak mięśnie skaczą mu na szyi.

– Inesa – odzywa się – nie możesz w kółko tego odwalać, do cholery.

Luka przeklina tylko wtedy, gdy jest bardzo zły, a gdy znajduje się w takim stanie, zapominam, że jest moim młodszym bratem. To ja wymyślałam opowieści, by mógł szybciej zasnąć, gdy burze były za głośne, a deszcz bez końca przeciekał przez dach.

Teraz ma więcej niż sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i z pomocą karabinu potrafi oddać śmiertelny strzał. Patrę na niego przez moje mokre włosy.

– Nadrobię – mamroczę. – Mogę przygotować króliki w dwie godziny. A Floris był tak szczęśliwy, że będzie nas chwalił na prawo i lewo w Esopusie Górnym...

Luka prycha.

– Nie możesz być naprawdę aż tak naiwna.

– Czyli jeśli automatycznie nie zauważam tego, co najgorsze w ludziach, to od razu czyni mnie łatwowierną?

– Nie – odpowiada niskim głosem. – To naiwne wierzyć, że ktokolwiek spojrzy jeszcze Florisowi w oczy. Oprócz CIEBIE, jak widać.

Wzdrygam się i zamarza mi krew. Widziałam Sanne położoną na naszej ladzie, martwą od dwóch, trzech dni. Zginęła, by spłacić dług swojego ojca. Jakie prawo rościł sobie Floris, żeby w ogóle przeżywać żałobę? I jaki miałam w tym cel, by pomóc zdjąć z niego część winy? Patrząc wstecz, to, co uznałam za nagły przyływ dobroci, wydaje się teraz raczej okrutną apatią. Floris stał się teraz wyrzutkiem, naznaczonym na zawsze przez to, co w odległych Hrabstwach uważamy za najbardziej odrażającą i niewybaczalną zbrodnię. Przez zwykłe rozmawianie z nim sama również się naznaczyłam. Nie poprawiłam naszej reputacji – pogorszyłam ją jeszcze bardziej.

A naprawdę, naprawdę nie możemy sobie na to pozwolić.

– Przepraszam – mamroczę te bezsensowne, szalone słowa.

Luka patrzy na mnie przez dłuższą chwilę. Jego brązowozielone oczy, jak moje, są twarde i nieustępliwe.

– Może powinnaś obejrzeć – odzywa się w końcu. – Może wtedy byś zrozumiała.

Trochę się za to nienawidzę, ale nie mogę się powstrzymać przed kąśliwą złością moich następnych słów.

– Nie sądzisz, że mama ogląda ich na tyle dużo, że starczy na naszą trójkę?

Mama nadal jest w swojej sypialni, za daleko, by usłyszeć, bo inaczej nie zaryzykowałabym wypowiedzenia takich słów. Luka

bierze gwałtownie wdech. Jest między nami niewypowiedziana umowa, by nie mówić o tym, co ona robi, lub o tym, czego nie robi, a ja właśnie ją złamałam. A potem – przyglądając się, jak na twarzy brata pojawia się krótki błysk bólu – przypominam sobie, że ta zasada istnieje nie tylko ze względu na mamę. Ta reguła jest jak chwiejące się fundamenty domu – za dużo grzebania w nich może doprowadzić do zawalenia się ścian. Nikt z nas nie chce być zmuszony, by bronić mamę. I nikt z nas nie chce też usłyszeć tej obrony.

Luka przez długi czas milczy. Zastanawiam się, czy będzie udawał, że w ogóle tego nie powiedziała.

– Wszystko jedno, Inesa – rzuca w końcu. – Każdy je ogląda. Nie rozumiem, co chcesz osiągnąć, odcinając się od tego.

Nie mam na to żadnej odpowiedzi. Czuję niemal ulgę, gdy zaślona oddzielająca korytarz unosi się i do pokoju wchodzi mama.

Zanim ją widzę, to najpierw słyszę – dzisiaj kaszle cicho i delikatnie, w sposób mający podkreślić, jak bardzo jest dyskretna. Owinęła się w zatęchły, dziergany koc, który mamy, odkąd ja i Luka byliśmy dziećmi. Jej włosy, jak zawsze, są nie-nagannie ułożone, eleganckie i czarne jak zbiornik wody nocą. Wszystkie siwe pasma zostały przykryte szkodliwym (i drogim) barwnikiem.

– Możecie być ciszej, proszę? – odzywa się. – Cały dzień mam pulsujący ból głowy. Migrena. Jest okropna.

– Przepraszam – odpowiada Luka.

– Przepraszam – powtarzam.

Mama kładzie rękę na swojej skroni i zamyka oczy.

– Inesa, nie załatałaś dachu, jak prosiłam. Myślę, że to przez kapiącą wodę dostałam migreny. To może być nawet pierwotny kłujący ból głowy.

Tak naprawdę dopiero zaczęło padać, więc woda nie kapała cały dzień, ale nie ma sensu jej tego wypominać. Nic nie da też wspomnianie, że nie sięgam do dziury w dachu, by móc ją

załatać, chyba że stanę na jednym z naszych chyboczących się krzeseł kuchennych, balansując na nim niepewnie. Luka to potrafi, ale jego nigdy o to nie poprosiła.

– Zrobię to dzisiaj – rzucam. – A teraz odpocznij na kanapie.

Mama wzdycha słabo i idzie w stronę sofy. To chwiejny, zmudny krok. Wciąż dochodzi do siebie po rzekomym skręceniu kostki, gdy spadła ze schodów na ganku, choć nie widziałam jej na dworze od ponad dwóch tygodni.

– Wiecie, ludzie umierają od pierwotnych kłujących bólów głowy. – Upada na kanapę. – I to wcale nie ból ich wykańcza. Jest on po prostu tak okropny, że wołają UMRZEĆ. Doktor Kuiper miał pacjenta z takim schorzeniem, który się POWIESIŁ.

– Widziałas się dziś z doktorem Kuiperem? – Cieszę się, że to Luka zadał to pytanie, nie ja.

Teoretycznie Caerus jest jedyną instytucją, która przyznaje prawo wykonywania zawodu lekarza. Mają wizyty wirtualne, a na poważniejsze zabiegi i operacje przewożą pacjentów drogą powietrzną do szpitali w Mieście. Można pójść do doktora Wesselsa na Ulicy Głównej, by nastawił kość lub leczył przeziębienie za pięćdziesiąt kredytów (lub przez umiejętny handel wymienny), ale mama nie ufa niecertyfikowanym lekarzom. Buli nie wiadomo ile kredytów tygodniowo za czat wideo ze swoim lekarzem z Caerusa.

– Tak – odpowiada. – Wszystko mu wyjaśniłam. Wysłał mi kolejną receptę. Muszę brać lek z jedzeniem.

A ile od ciebie za to wziął? Pytanie rodzi się w moim gardle, ale zaciskam usta, nim wypowiem je na głos.

Pod jedwabną sukienką domową – która wygląda na nową, pewnie dostarczoną dronem Caerusa, gdy byłam w sklepie – pierś mamy powoli unosi się i opada. Skupiła się jak mięczak, z pięściami pod brodą.

– Podam ci obiad – mówię, choć nie nastawiam się na nic świetnego w kuchni, ale może miło się zaskoczę.

– Nie chcę tych śmieci, które wy jecie. Doktor Kuiper mówi, że muszę dostawać świeże owoce i warzywa, by wzmocnić mój układ odpornościowy.

Chcę jej powiedzieć, że nie musi się martwić, bo nie stać nas teraz, by opłacić prąd, więc mikrofala i tak nie działa.

– Może mamy jakieś jabłka – odpowiada Luka. – Pójdę sprawdzić.

– Nie, niech to zrobi Inesa – rozkazuje mama. – Ty cały dzień ciężko pracujesz, a ona tylko siedzi za ladą. Chodź tu i obejrzyj ze mną.

Jej tablet oparty jest o podłokietnik kanapy. Zerkam na ekran, po czym żałuję, że to zrobiłam. Ma włączoną transmisję w systemie video-on-demand, zapauzowaną. Sanne jest w trakcie skoku, zatrzymana w zamrzniętym ruchu, jej biała sukienka odznacza się na tle ciemnozielonych drzew. A za nią...

Odwracam wzrok, czując zbierające się we mnie mdłości. Wiem, że to nie pierwszy raz, gdy to ogląda. Jest jedną z miliona mieszkańców Nowego Amsterdamu, którzy obserwowali Wyzwanie na żywo, z oczami skupionymi na ekranie tabletów, nie mrugając, by nie ominąć ani sekundy transmisji. Zastanawiam się, czy podczas oglądania powtórki mama zwróciła uwagę na inne rzeczy. Drobnostki, które mogła ominąć za pierwszym razem, jak na przykład łyzy Sanne mieszające się z deszczem, aż stały się jednością, wspólnym strumieniem spływającym po jej policzkach.

Ta myśl mnie elektryzuje jak błyskawica. Podczas gdy Luka siada obok kobiety na kanapie, ja idę do kuchni. Czuję, że całe moje ciało dziwnie drży, tak samo jak zawsze, gdy nie udaje mi się niczego zjeść przez dłuższy czas. Teraz jednak zdecydowanie nie jestem głodna.

Siniaki wokół jej szyi...

Szybko trzęsę głową i mrugam, oczyszczając umysł, po czym otwieram lodówkę. Jest w niej kilka mączystych jabłek, ale mama nie będzie ich chciała. Zamiast tego wstawiam na kuchence

wodę na ziemniaki. Mamy tylko te w proszku, ale ziemniaki są warzywami. Tak sadyę.

Zrobienie dania, na które mama maó będy narzekać, to największe osiągnięcie. Ziemniaki zaczynają przypominać puree, bulgocząc jak eliksir wiedzy. Sięgam po dwa kubki z szafki, napełniam je wodą z dwudziestolitrowego baniaka i otwieram nową paczkę tabletek do uzdatniania wody pitnej, zdzierając dobrze znane opakowanie Caerusa. O smaku wiśni, drugie ulubione mamy. Skończyły nam się brzoskwińowe.

Woda w Esopus Creek, jak w prawie wszystkich odległych Hrabstwach, jest zbyt zanieczyszczona, by można ją było pić. Rozwiązaniem systemu są tabletki do uzdatniania, takie małe, które wrzuca się do każdej szklanki. Patrę, jak pastylka rozpuszcza się w wodzie i potem zupełnie znika, barwiąc płyn na blade, różowy kolor. Dwutlenek węgla w napoju zawsze pali mnie w nos.

Caerus pewnie zdał sobie sprawę, że bardzo szybko straci połowę populacji Nowego Amsterdamu, w przeciagu zaledwie kilku tygodni, jeśli tabsy nie będą tanie, więc prawie zawsze nas na nie stać, a przynajmniej na te bezsmakowe. Mama jednak ich nienawidzi, a skoro i tak jest już w złym humorze, używam wiśniowych.

Kiedy przynoszę ziemniaki, ta od razu wydy ma usta.

– Przepraszam – mamrocę. – Nie mamy nic więcej. Pójdę jutro do pani Prinslew i zobaczę, co ma.

Transmisja znów jest zapauzowana, co zauważam z wdzięcznością. Nie ryzykuję jednak spoglądania w stronę ekranu.

– Naprawdę myślisz, że to wystarczy twojemu bratu? – protestuje mama. – Cały dzień spędza na łowieniu, na zimnie i w deszczu. Nie proszę dla SIEBIE. Ale dla Luki...

– Wszystko jest w porządku, mamó – przerywa mój brat, a jego głos tłumi kęs ziemniaków w ustach. Już zdążył zjeść połowę talerza.

Sama już od jakiegoś czasu nie jadam posiłków przy mamie. To było jak męczarnie. Lubi szczypać mnie w grubsze ramiona, zaraz nad łokciem, wskazując ciało jak dowód, że mogłabym przeżyć, jedząc mniej.

Mama nabiera małe, niechętne porcje, pozwalając, by ziemniaki spadały jej z łyżki i plamiły koc. Pomiędzy jednym kęsem a drugim wzdyga się przesadnie, potrząsając całym ciałem.

– Jest tu tak zimno – mówi. – Czy ogrzewanie jest wyłączone?

Jej niejadowity ton głosu mnie kłuje. Dobrze wie, że ogrzewanie nie działa, bo nas na nie aktualnie nie stać, a błaganie o węgiel naszych sąsiadów, Muldersów, stało się dla mnie i dla Luki zbyt uwłaszczające i żenujące. Może gdybym nie była tak zmęczona, tak poturbowana sytuacją z Florisem, trzymałabym głowę na kłódkę i pozwoliła bratu podjąć z mamą ten temat. Ale on tylko napycha się ziemniakami, a jego palec niebezpiecznie wisi nad przyciskiem odtwarzania, grożąc wznowieniem transmisji.

– Tak. Jest to teraz dla nas za drogie – odwarkuję.

Nie potrafię zmusić się, by dodać: „Przykro mi”. Ale gdy jednak wypowiadam te słowa, żałuję ich. Wyciągnęłam z mamy jej gorszą stronę. Może nawet najgorszą.

– Inesa – odburkuje, a jej głos się podnosi, robi się bardziej piskliwy. – Nie jestem w stanie znieść teraz tej twojej samolubności.

Przypuszczam, że może faktycznie *jestem* samolubna, jeśli spojrzeć na tę sytuację tak, jak chce tego Caerus. Ponieważ właśnie taki był cel ich systemu kredytowego. Stać cię na wszystko – jeżeli jesteś tylko gotów przekroczyć stan swojego konta. Wątpię, że w Esopus Creek mieszka przynajmniej jedna osoba, która nie jest zadłużona u Caerusa na chociażby tysiąc kredytów. Możesz wciąż kupować i kupować, przyglądać się, jak twoje konto coraz bardziej tonie w rejestrze, aż zaczną wyskakiwać ci ostrzeżenia o windykacji. A jeśli popłyniesz z wydatkami za daleko, wyślą

jednego ze swoich pracowników – Zamaskowanych – by przyszli i cię zabrali. Możesz wtedy pracować w jednej z ich fabryk opakowań tak długo, aż nie spłacisz tego, co im wisisz.

Czasami jednak dług jest zbyt duży, by spłacić go dzięki pracy. Pięset tysięcy kredytów. Tyle był winny Floris.

W przeciwieństwie do sąsiadów nie pozwalamy sobie przekraczać stanu konta. Wiem, że dla Luki jest to ważne ze względu na tatę. Jeśli chodzi o mnie, nie mam w głowie żadnego wielkiego powodu. Zwyczajnie się boję. Boję się cały czas. I może właśnie to jest prawdziwy powód, dla którego nie oglądam Wyzwania. Nie chcę, by stało się ono dla mnie rzeczywistością. Wolę udawać, że jest to tylko głupie show.

Ale trudno jest się oszukiwać, gdy widziałam ciało Sanne położone przede mną na ladzie.

Więc pozwalam mamie rzucać swoje oskarżenia, grymasy na moje lenistwo, krytykę, bo jestem za mało współczująca. Mówi tak długo, że Luka aż wstaje i idzie w ciszy do swojego pokoju. Może myśli, że jest opiekunem rodziny. Teraz, gdy już nie ma taty – i tak pewnie patrzą na to wszyscy inni w Esopus Creek. Ale to ja go ochraniam za zamkniętymi drzwiami. Ja biorę na siebie kule, które wystrzeliwuje mama.

Po dłuższej chwili udaje mi się w końcu uciec do innego pokoju. Jest nim prycza ustawiona wzdłuż wschodniej ściany domu oraz powieszona prześcieradło, które ma przedzielać pomieszczenie na dwie części – moją i Luki. Widujemy swoje cienie poruszające się za zasłoną oraz słyszymy niskie pomruki naszych głosów, chociaż przez większość czasu korzystamy ze słuchawek. Nie wiem, co brat robi na swoim tablecie. Cieszę się, że on nie wie, co ja robię na swoim.

Zmuszam się do połknięcia resztek makaronu – poza obserwacją mamy – i odkładam pusty talerz na podłogę, po czym

układałam tablet na swojej poduszce. Słyszę, jak po drugiej stronie zasłony Luka obraca się na swojej przyczy.

Zakładam słuchawki, otwieram apkę \$ponsor i sprawdzam, czy któryś z moich subskrybentów jest online. Popołudnie to za-
zwyczaj dobra pora. Każdy wraca do domu z pracy i ma kilka godzin przed pójściem spać. Mały licznik w prawym, górnym rogu pokazuje liczbę 172. Wystarczy. Odpalam przednią kamerę i wciskam czerwony przycisk z napisem „STREAMUJ”.

– Cześć wszystkim – szepczę. – Przepraszam, ale muszę być dziś cicho, moja mama i brat próbują zasnąć.

Subskrybenci wiedzą o moim życiu więcej niż ktokolwiek, bo płacą mi, bym po prostu gadała. Przeleją pieniądze, by zobaczyć, jak jem makaron w łóżku i opowiadam o swoim dniu. Zastanawiałam się na początku, co oni mogą z tego mieć – bo jasne, że jest kilka mężczyzn o przyprawiających o drgawki intencjach. Ale jeśli powiedzą coś zbyt odrażającego na czacie, mogę nacisnąć jeden przycisk i ich zablokować. Wszyscy są anonimowi, stają się serią losowych liczb – numerami kont Caerusa – i nie mają żadnego zdjęcia. Mimo to nauczyłam się już rozpoznawać różne style ich pisania, jeśli wystarczająco często oglądają moje streamy.

Wielu z nich też mówi o sobie. W każdej historii jest jedna, wspólna nić, nieważne, czy jest to zaniedbujący współmałżonek, wyprowadzka dorosłych dzieci, kiepskie życie miłosne czy nieudane małżeństwo. Ich samotność emanuje przez ekran.

Czasami zastanawiam się, dlaczego zdecydowali się mnie obejrzeć, gdy są tysiące innych streamerów, a wielu z nich jest lepszych, bardziej dostępnych niż ja. Gdy nadaję, przyglądam się swojej twarzy, owiniętej drobnymi pęknięciami szybki tabletu. Moja skóra ma odcień oliwkowy i pewnie byłaby tak ciemna jak cera taty, gdybym nie mieszkała w Esopus Creek, gdzie słońce przedziera się przez chmury średnio raz na trzy dni. Moje włosy mają ten sam odcień brązu co jego, oczy lśnią orzechowym

kolorem, nad nimi wiszą łukowate, gęste brwi, a pod nimi znajdują się pełne usta. Trudno mi patrzeć na siebie, nie przypominając sobie słów mamy: że wyglądam zbyt podobnie do ojca.

– Luka wdał się we mnie – mówi zawsze z wielką dumą, jedno z jej kolejnych okrutnych urojeń. Brat i ja jesteśmy jak odbicia lustrzane. Niektórzy w Esopus Creek nadal sądzą, że jesteśmy bliźniakami.

To śmieszne, że te same cechy wyglądu mogą wyglądać tak bardzo inaczej na drugim człowieku.

Streamy są moją tajemnicą, którą skrywam przed mamą, a nawet przed bratem. Nie oceniamy tego, co robimy, by przetrwać, nieważne, czy jest to podkradanie węgla z szopy Muldersów, czy wysysanie szpiku z kości królików, podczas gdy mama odwraca wzrok w obrzydzeniu. W tej kwestii jesteśmy drużyną, tak samo, gdy chodzi o prowadzenie sklepu – on łowi, ja szykuję zwierzęta. Ale streamowanie wydaje się na innym poziomie desperacji, takim, które wypełnia mnie zażenowaniem. Nigdy się z nikim tym nie podzielię.

– Dziś bardzo mocno pada – opowiadam czatowi. – Do sklepu przyszedł jeden klient. Nie uwierzycie, co chciał, bym zrobiła...

Opowiadam, opowiadam i opowiadam wprost do niewyraźnego ekranu tabletu. Udzielam odpowiedzi na pytania z czatu, czasami też widzowie mówią mi o swoim dniu. Wiem, o co spytają moi wieloletni subskrybenci i jak oczekują, że na nie zareaguję. Za każde pytanie dostaję pięć kredytów; kolejne pięć, jeśli chcą, by apka przeczytała ich pytanie na głos, używając do tego swojego mechanicznego głosu robota. W niektóre dni zarobię więcej w godzinę niż przez cały tydzień pracy w sklepie.

Łatwo stracić rachubę czasu, gdy streamuję. Na początku czułam się bardzo niezręcznie, ale teraz mogę mówić bez końca. Rzeczy, które trudno mi powiedzieć Luce, bardzo łatwo wylatują mi z ust, gdy mówię przed nieznanymi. Moi subskrybenci wiedzą o mamie i jej teatralnie udawanych chorobach oraz ile

czasu minęło, nim zorientowałam się, że zniknął tata, że już nigdy nie wróci. Tematy, których wraz z bratem milczącym paktem postanowiliśmy nie poruszać.

Godzina siódma szybko zmienia się w dziesiątą, a później na zegarze widnieje północ. Gdy w końcu wyłączam kamerę, jestem tak zmęczona, że ledwo mogę utrzymać otwarte oczy. Niektórzy widzowie zostają jeszcze online, gdy kończę, a ich pytania wiszą na czacie bez odpowiedzi. Myślę, że oglądają mnie, ponieważ czują, jak ich samotność odbija się echem od mojej alienacji, jak bardzo identyczne one są. Podczas gdy mój głos i twarz wypełniają pustkę w ich domach, pytania budują swego rodzaju falochron. Bariere chroniącą mnie przed ponurą, nieświadomą ciszą, która by mnie zmiażdżyła, gdybym jej na to pozwoliła.

Przewijam czat i pozostałe wiadomości. Jeden komentarz przykuwa moją uwagę; jest od użytkownika, którego w ogóle nie rozpoznaję. Nowy subskrybent.

widziałś to??

A pod spodem wklejony link.

Zazwyczaj jedyne komentarze z linkami pochodzą od botów, które próbują przenieść użytkowników na stronę spamu, więc od razu je blokuję. Ale wiem, że ten komentarz nie pochodzi od bota, ponieważ użytkownik zasubskrybował mój kanał – choć dopiero dziesięć minut temu. Nie na tyle długo, aby być świadomym moich osobistych przekonań. Wszyscy pozostali subskrybenci wiedzą, że lepiej o to nie pytać.

Rozpoznaję odnośnik. Jest taki sam, jak na górze przeglądarki na ekranie mamy. **Caerus.gov/Wyzwanie**.

Słowa Luki przelatują mi przez głowę. *Może powinnaś obejrzeć. Może wtedy byś zrozumiała.* A potem wspominam moje żenujące spotkanie z Florisem, jak wpłynęłam na naszą reputację, a wszystko dlatego, że jestem zbyt wielkim tchórzem, by chociaż zerknąć na to, co wszyscy w Nowym Amsterdamzie chciwie, chętnie, a nawet z odpychającego poczucia obowiązku oglądają.

Klikam w link.

Mija kilka okrutnych sekund, gdy strona się ładuje, a ja nastawiam się, że zobaczę Sanne – jej niebieskie oczy otwarte szeroko w milczącym przerażeniu, chude nogi uderzające o ziemię podczas ucieczki, poplamioną suknię odznaczającą się na tle drzew. Jeśli najpierw sobie to wyobrażę, może zobaczenie tego nie będzie aż tak złe. Ale to głupie z mojej strony myśleć, że mogę przywołać w umyśle coś tak strasznego, jak rzeczywistość Wyzwania.

Gdy strona w końcu się otwiera, wcale nie widzę Sanne. Zamiast tego patrzę na ciemny spód helikoptera obniżającego lot nad znajomym skrawkiem lasu. Słyszę ogłuszający dźwięk kręcącego się śmigła. Unosi się metr nad ziemią, poruszając suchymi liśćmi, a błoto plami lśniący spód maszyny.

Nagle w transmisji jest zbliżenie. Widzę taflę blond włosów, tak jasnych, że są niemal białe, proste jak igła i błyszczące. Owalną twarz, równie bladą, tak nieskazitelną jak śnieg, który nie spadł w Nowym Amsterdamie od dekad. Wyraźne kości policzkowe i usta ułożone w cienką, beznamiętną linię. Dziewczynę w podobnym do mnie wieku.

Niemal łapię się na tym, że stwierdzam, iż jest piękna. Ale potem przypominam sobie, że wcale nie jest dziewczyną – nie do końca. Jest lodowatą istotą, stworzoną w laboratoriach Caerusa, gdzie manipulowali ludzkim ciałem, usuwali i dodawali do niego to, co musieli, by stworzyć broń idealną. Ma twarz dziewczyny i może jest ona wyjątkowo piękna, ale w środku ma tylko kable i dysk twardy, metale i obwody elektryczne wplecione w ciało i kości.

Caerus nazywa je Aniołami, co wydaje się okrutną ironią. Dociera do mnie, że jestem oczarowana – tak jak każdy inny człowiek w Nowym Amsterdamie – tą zimną i piękną twarzą zabójczyni Sanne.